Ner 14. Kraków, 8go Kwietnia. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Wychowanie własne, czyli przez siebie samego.

Każdy człowiek wiedzieć powinien, że wychowanie jego nigdy ustać nie powinno, że zatem ma trwać nietylko do grobowej deski; ale i po doczesnem życiu bez przerwy, bez końca: bo człowiek co chwila powinien się stawać doskonalszym, bardziej do Boga zbliżonym.

Wychowują człowieka rodzice, opiekunowie, pedagogowie, nauczyciele, przyjaciele i nieprzyjaciele, wychowują go różne stosunki, słowem: świat. Całe to wychowanie jednakże będzie i być musi niedostatecznem, jeżeli człowiek sam swojem wychowaniem nie zajmie się najtroskliwiej.

Lecz, na czemże zależy, wypada zapytać, własne wychowanie człowieka? Na to odpowiemy, że nie tyle zależy na wzbogaceniu wiedzy własną pracą, i nietyle na wykształceniu fantazyi, smaku estetycznego; nie tyle na nabyciu sił i wdzięków ciała; ile zależy na wyplewieniu chwastów z serca, a zatem na uszlachetnieniu moralnego uczucia, którego harmonia zapewnia nam na ziemi o tyle szczęśliwe życie, o ile to życie szczęśliwem być może; zapewnia nam spokojną śmierć i błogą przyszłość, nietylko wedle świętej wiary chrześciańskiej; ale i wedle wywodów filozoficznych.

Że nie o to idzie, aby za dobrego uchodzić; lecz, aby dobrym być istotnie, więc oczywista, że idzie o pozbycie się złych chęci i skłonności. A że od złych chęci i skłonności nikt, prócz nas samych, uwolnić nas nie może, bo nikt w nasze serca tak wglądać i w nich tak gospodarować nie może, jak my sami: przeto jasna i oczywista, że z wszelką usilnością, z wszelką wytrwałością sami siebie wychowywać powinniśmy. Dlatego wyrocznia starożytności przykazując, aby człowiek poznawał sam siebie, bardzo mądrze przykazuje: ponieważ nie znając siebie, nie zna także swych chęci i skłonności, zaczem nie jest w stanie wykorzeniania tych z serca swojego, które są złe.

Aby dopiąć celu, nie dosyć wiedzieć, cośmy powinni, niedosyć pragnąć dopełnienia powinności; potrzeba ją dopełniać, czyli potrzeba działać w przyzwoitym kierunku — więc krótko i węzłowato: należy ustawicznie walczyć z samym sobą, i zwycięztwo przychylać na stronę *moralności.*

— 1. —

JADWIGA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

Jakkolwiek przeto bezkrólewie to przedstawiało nam z początku bolesny obraz rozsterek i waśni wewnętrznych, nie było ono tak strasznem i tak wiele narodowi szkodzącem, jak były późniejsze po wygaśnięciu Jagiellonów bezkrólewia. Jeszcze naród lgnął do zgody, i chętnie rękę podawał jej, gdy chodziło o przyszłość i bezpieczeństwo tronu, a monograf Jadwigi dodać tu może, że gwiazda przeznaczenia, tej świętej przyświecająca pani, oświeciła blaskiem swoim umysły i serca przyszłego jej narodu, i tak nastroiła je do zupełnej zgody, że się wszyscy ku Jadwidze zwrócili.

W skutek tej konfederacyi radomskiej, po której królowa węgierska wysłała do Polski posłów z oświadczeczeniem zadowolenia za ich uczucia i uszanowanie woli nieboszczyka króla, zebrała się rada w Wiślicy, gdzie też posłów tych przyjmowano, i na niej zatwierdzono poprzednią uchwałę, przysięgając i na krok jej nie odstąpić. Widząc więc tak usposobiony naród, książę mazowiecki przeczuwać już musiał upadek swoich nadziej; lecz miłość własna nie pozwalała mu odstąpić od nich tak łatwo. W tym względzie sprzyjała mu i ta okoliczność, że Wielkopolanie, widząc upadłą sprawę Zygmunta przez oddzielenie korony węgierskiej, żałując jeszcze uległości swej przed narodem, obrócili się ku Ziemowitowi, jego prawa do tronu popierając.

Mimo więc konfederacyi braterskiej, powstaje znowu w Wielkopolsce stronnictwo mające na celu: „obalenie zupełne następstwa królewien andegaweńskich i... wbrew uchwałom radomskiej i wiślickiej, podniesienie oręża w obronie Piasta, obwołanie Ziemowita królem.“ Uwiadomiony o nowo świtającej nadziei Ziemowit, zabrał się od razu do dzieła. Za wypożyczone od Krzyżaków pieniądze urządzono wojenną wyprawę, z którą też rozpoczęto zabory zamków wielkopolskich. Równocześnie z tem powstaniem obrażony Domarat rozkazem konfederatów radomskich, „aby ustąpił z generalnego starostwa“ — powrócił znowu do swego Zygmunta, i zagroził „całemu narodowi wielkopolskiemu, iż do poruczonych swojej pieczy zamków królewskich sprowadzi niemieckie z Zygmuntowej marchii brandenburskiej posiłki.“

„W ten sposób, pisze Karol Szajnocha, zabrzmiała Wielkopolska naraz poszczękiem trzech różnych stronnictw zbrojnych.“ Mazowszanie pod Ziemowitem, konfederaci z hasłem królewny, i Grzymalici za Zygmun-

tem wiernie obstający. Po drobniejszych zatargach przyszło nawet do krwawego starcia, bo Mazowszanie połączyli się z konfederatami, i wystąpili zbrojnie przeciw Grzymalitom, posiłkowanym przez Niemców. Lecz utarczki te bądź jednej, bądź drugiej stronie to klęskę, to wygraną naprzemian znoszące, nie spowodowały nic takiego, coby królowę Elżbietę od jej postanowienia odwieść mogło. Postanowiła ona jednej z swych córek zapewnić koronę polską. Że zaś starsza jej córka Marya była już królową węgierską, a sejm wiślicki zatwierdził uchwałę, że przyszła królowa polska jedynie w Polsce zostawać i rządzić winna, zwróciła więc Elżbieta swoją uwagę na młodziuchną córeczkę swoją: Jadwigę, która zaledwie dwunastą oglądała wiosnę. W tej myśli wysłała biskupa węgierskiego Mikołaja do Polski. Ten zastał znów trzeci zjazd narodowy w Sieradzu. Na zjeździe tym wyrazili posłowie węgierscy panom polskim swojej królowej wolę, dodając, że Elżbieta przyrzeka: „przysłać Jadwigę w krótkim czasie na koronacyą do Krakowa, że żąda tylko, aby panowie polscy ze względu na młode latka Jadwigi, zobowiązali się przysięgą i dokumentem odesłać swoją młodocianą królowę natychmiast po koronacyi na trzyletnie jeszcze wychowanie napowrót do Węgier.“ Po długich naradach „*zezwolili*“ na to panowie — a tak wdanie się Elżbiety nieznaskom krajowym położyło niemal koniec, bo już odtąd wszyscy stronę Jadwigi trzymali, oprócz niezwalczonych w uporze Grzymalitów, obstających ciągle za Zygmuntem. Lecz upór ten i opór ostatniej wielkopolskiej partyi, nie długo mógł mieć trwałość, i skończył się też na niczem, skoro sam Zygmunt wszelkich pretensyj do tronu polskiego zaniechał.

Tym więc sposobem po długich i zawikłanych sporach i frakcyach, Wielkopolanie wyrobili w sercach całego narodu wielką i szczerą miłość dla Jadwigi, nad którą w samym początku jej na tron polski wstąpienia, Bóg opatrzności swej rozniecał gwiazdkę, przyświecającą jej przy wejściu na tę wielką i świetną drogę, po której naród epoką jagiellońskiego szczepu prowadzić miała do chwały.

Zjazd w Sieradzu postanowił przeto przyjęcie Jadwigi na tron polski. Z tego powodu nowa przyczyna waśni i niezgody urosła między Wielko- a Małopolanami. Wielkopolanie, zbiegiem okoliczności spowodowani do wyrzeczenia się wszystkich stronniczych co do Zygmunta i Maryi zamiarów, jęli się na nowo tej okazyi, ażeby, skoro samego księcia mazowieckiego nie udało się im osadzić na tronie, ażeby teraz zrobić go mężem Jadwigi, i tem samem choć pośrednio dopiąć zamierzonego celu. Małopolanie zaś, w ciągłej z Wielkopolską zostający niezgodzie, i dla tego już na Ziemowita się nie pisali, że go Wielkopolska narzucała; ale też prócz tego, własnym widokom folgując, chcieli mieć na tronie takiego męża Jadwigi, któryby im obowiązany był wdzięczność za swe wyniesienie, i któryby w tej wdzięczności ich wzniesienie się na majątku i sławie zapewnił. Niespodziewając się tego po Ziemowicie, który był sobie prostym *książęciem szlacheckim*, stawali usilnie przeciw Wielkopolanom, polecającym jego na męża młodej królowej. Trudne dla tego było położenie na sejmie w Sieradzu, gdzie Wielkopolanie jednogłośnie Ziemowita za męża przyznawali; ale z tej trudności wybawił ich Jaśko z Tenczyna który się w te słowa do panów rad odezwał: [1])

„Wszelaka rzecz skwapliwa znacznie ludziom szkodzi,
„A za radą porywczą w też tropy żal chodzi.“

„Teraz zasię, gdyśmy wiarę naszą dziewce króla zmarłego Ludwika przysięgą obowiązali, uważajcież proszę jako najpilniej, jeśliż uchybiwszy onej, słuszność mieć jaką, do obrania sobie pana inszego, możemy. Zaprawdę, ja nigdy do złamania przysięgi nie będę wam powodem. I jeśli tu kto jest w tak zagęszczonym orszaku, któryby ten zakon przysięgi, najświętobliwszy węzeł społeczności człowieczej, lekce poważał, mnie proszę z takim bezbożnikiem wolno niech będzie nie przestawać.“

I dalej mówił z gorącą wiarą o znaczeniu przysięgi, i nikczemności tych, którzy się poważają jej niedotrzymać. A w końcu, zwracając się do rzeczy, dodał: „Bóg niech taką oddali od nas plagę! Ale cóż wżdy począć? Więc powiem, jako rozumiem. Zwlec jeszcze te namowy strony elekcyej pana nowego radziłbym.“ Po tem zaś podaje radę, co posłom węgierskim polecić mają panowie polscy, i namawia ich, aby czekali na Jadwigę, która sobie sama króla obrać będzie mogła, a dopiero, gdyby nie przyjechała, mówi, lub to Ziemowita, lub też kogo inszego za króla sobie weźmiemy.

Mowa ta wywarła dobry wpływ na wszystkich słuchaczy, i najpożądańszy miała skutek. Wielkopolanie musieli znowu ustąpić, a Ziemowit niecnych tylko postanowił użyć środków do pochwycenia przemocą wjeżdżającej do Krakowa Jadwigi.

Małopolanie zaś myśleli już o walecznym księciu litewskim, którego z dawnych wojen i wypraw znali byli, którego sobie po związku Kazimierza z Giedyminówną przypomnieli, i z którego nakoniec wielkich się korzyści spodziewali, wiedzieli, że wielkie obszary litewskie będą mogły znakomicie ich fortunę powiększyć. Myśleli więc już o Jagielle. Myśl tę jednak ta im przyniosła okoliczność, że niegdyś poznali już byli dobrą i łagodną stronę księcia litewskiego, gdy po zaborze rzeczy kościelnych z miejsca świętego dla Polaków, ich niedolą tknięty, tamże zabrane świętości, na miejsce ich przeznaczenia odesłał. Ztąd poznany Jagiełło, kazał Małopolanom dobrze tuszyć o sobie, i dla tego też po usunięciu, choć tylko tymczasowem Ziemowita, o Jagielle myśleli, myśląc o przyszłym mężu Jadwigi. Tej myśli, zrodzonej prostem logiczności i własnych widoków następstwem, towarzyszyło jednakże zdaniem naszem wyższe i nie wszystkim jasne przeznaczenie, nad całym narodem i nad całą Polską czuwające, a nakreślające jej najszczytniejsze posłannictwo; posłannictwo, o którem żaden historyk polski zapominać nie powinien, o którem my już nieraz w naszej *Niewieście* wspominali, które nas nad inne narody stawia wyżej, bo oto posłannictwo krzyża i jego zakonu, posłannictwo jego rozszerzania i zwycięzania nieprzyjaciół jego. W myśli tego przeznaczenia i tego szczytnego obowiązku, za który i dzisiaj naród nasz wobec Chrystusa nieprzyjaciół krwi przelanie lękać się nie umie, w myśli tego powtarzam przeznaczenia, daje się najjaśniej wytłómaczyć i pojąć ten pociąg Małopolan, na pozornym tylko porosły interesie, ku wielkiemu księciu litewskiemu, bo przezeń Polska miała niezadługo dokonać wielkiej swojej katolickiej missyi!— miała miliony ludu nawrócić do krzyża, i jego stać się kapłanką i posłanniczką.

Nie uprzedzając jednak faktów, musimy zwrócić się do porządku dziejowego rozwoju naszego opowiadania, a mianowicie musimy przyjrzeć się sprawie i prowadzeniu nowo obranej naszej pani, na którą, jako na królowę, osierocony tron oczekuje w Krakowie.

(C. d. n.)

[1]) Kromer.

PIEŚŃ

CHILDE HAROLDA DO INEZY.

(Z Lorda Byrona).

Nie śmiej się, widzisz, jak mię serce boli!
Już śmiech dalekim odemnie;
Lecz płakać niech ci niebo nie dozwoli,
Płakałabyś pewnie daremnie.

Nie pytaj, jaka to boleść tajemna,
Co radość i młodość zniszczyła?
Nie szukaj cierpienia, to praca daremna,
I twoja nie zleczy go siła.

To nie nienawiść, to nie jest kochanie,
Ni dumy zawiedzione trudy,
Że dziś uciekam w opłakanym stanie
Od tego, com cenił wprzódy.

Wszystko na świecie niesmak we mnie budzi,
Co spotkam, słyszę, lub widzę dokoła...
Piękność mię więcej swym wdziękiem nie łudzi,
Twe oko ledwie mię rozbudzić zdoła.

Boleść bez końca duszę moję nęka,
Jak Aschawerus na wiekim skazany;
Po za grób spojrzeć oko me się lęka,
A ziemia nigdy nie zgoi mej rany.

Przed sobą któryż wygnaniec ucieczę?...
Tak wszędzie, gdziekolwiek iść mogę,
Tam, gdzie mróz pali, lub gdzie słońce piecze,
Myśl — demon, ze mną pójdzie w drogę.

Co radość znają, są na świecie ludzie,
I posiadają wszystko, co straciłem;
Oh, niechaj żyją wiecznie w tej ułudzie,
Niech się nie budzą, jak ja się zbudziłem.

Przez liczne jeszcze mam wędrować kraje,
A ze mną razem straszne przypomnienie;
Jedna mi tylko pociecha zostaje,
Że znam już z cierpień... najgorsze cierpienie.

Co za najgorsze? nie zadaj pytania
Przez litość, i rozśmiej się proszę;
Nie zdzieraj maski, która ci zasłania
To piekło, jakie w sercu noszę.

1859.

Adam Bełcikowski.

KSIĄDZ MAREK.

(JULIUSZA SŁOWACKIEGO).

(Ciąg dalszy).

Dramat zaczyna się pieśnią konfederatów barskich:

Nigdy z k..... nie będziem w aliansach,
Nigdy przed mocą nieugniemy szyi;
Bo u Chrystusa my na ordynansach —
Słudzy Maryi.

Ta pieśń — to niby chorągiew Baru, pod którą ks. Marek do końca wytrwale stoi, silny potęgą ducha Bożego — Kordecki drugi. Ale nie wszyscy tego ducha pełni, szczególniej autorowie konfederacyi, na których czele marszałek Krasiński. Próżno stary Puławski, regimentarz, z manifestem staje w kole szlachty i prosi: pod chorągwią Jezusową tu w Barze za kraj nasz umrzeć nam trzeba *dla miłości prawdy i wiary,*— marszałek radzi opuszczenie Baru, dając za powód brak żywności i amunicyi. Więc nie od ludu, znoszącego nędzę z wytrwaniem, wychodzi pierwsza skarga na głód; ale od ludzi, co ledwie o tej nędzy z wieści wiedzą; to też ksiądz Marek gromi:

Marszałku! panie narodu,
Czyś ty dzisiaj doznał głodu?
. . . .
Pan Bóg jest pełen litości —
Jeżliś głodny był — przebaczy.
. . . .
Lecz wyznaj, że ani nędza,
Ani głód, jedzący żyły
Poradził — jeno ta jędza,
Co krew polską dawno chłepce:
Tchórzostwo do ucha szepce.

Nie pierwszy to raz ksiądz Marek z takim egzorcyzmem staje przed szlachtą, boć i w kościele, gdy kaza przed chwilą z ambony, kazał przynieść trumnę z kościarza, odrzucił wieko i z pyłu trumny dobywszy kość sądził ją w obec drżącego ludu:

Jeżli ty — mówił do kości —
Z pod twojej rysiowej delii
Przy czytaniu ewangielii
Szabli dobyłaś na światy —
Ręko! bądź błogosławiona.
Lecz, jeżli wy stare gnaty,
Wy spruchniałe dziś ramiona,
Wy drżące palców kosteczki,
Dla jakiej prywatnej sprzeczki
Dobyłyście z pochew miecza,
Chłopską porąbały chatę;
Jeżli ty ręko człowiecza,
W sygnetach a krwią ociekła,
Podpisywałaś utratę
Naszych pogranicznych grodów;
Jeżliś cały naród wlekła
Za włosy w trumnę narodów,
I poiłaś go piołunem;
Ręko hańby! — idź do piekła!
Rzekł — i kością, jak piorunem,
Uderzył z czarnej ambony
W sam środek szary motłochu,
W sam środek czerni szepcącej
O tej kości latającej,
O tym poruszonym prochu,
O tym niespokojnym grobie.

Takie egzorcyzmowanie złych myśli i czynów, taka obelga antenatów, obraziły magnatów, i to był także jeden z powodów, dla których chcą Bar opuścić. Ale największym może powodem: dyplomacya, w którą wierzy pan marszałek. Gardząc zapałem tłumów, pomocą swoich, wierzy w pomoc Turcyi. Dyplomatyczne te kombinacye, to dalszy ciąg zarazy, co nas niszczy. Zapałem stała Polska, dyplomacya nasza albo chłodzi, albo zdradza. To też na czołach odchodzących panów czuć już haniebną myśl Targowicy. I Puławski stary idzie za niemi, nie z przekonania: ale z powinności i posłuszeństwa dla władzy; ale odchodząc zarzuca połę żupana na oczy „by niewidziano, czy z twarzą wstydem rumianą, czy z twarzą łzami zalaną — stary Puławski odchodzi“ — i zostawia szablę swoją w spuściźnie tym, co zaproszeni *na dzień drugi*. Ksiądz Marek przypasuje pałasz. Za tymi odstępcami idzie jeszcze jeden: ksiądz przełożony Karmelitów, ze złotą puszką sakramentów i relikwiarzami uchodzi z Baru, by tych świętości nie splamiły ręce wrogów, czyli (jaśniej myśl jego tłumacząc): by złotych naczyń nie stracił. To kontrast wybitny natchnionego mnicha; duchowny bez ducha, szafarz niebieskich rzeczy za ziemskie dochody, i ten człowiek grozi jeszcze księdzu Markowi, że mu z ambony zakaże tumanić lud: Ale sługa Boży gardzi nim i jego groźbą „Boga nam nie weźmiesz z sobą, mówi“ i zostaje w Barze czekając aż Pan „da mu tryumf lub męczeństwo!“ Nie sam jednakże ksiądz Marek zostaje w Barze, obok człowieka ducha staje człowiek zwierzę: Kosakowski. Cielesna siła, jedyna jego cnota, którą kalają co chwila namiętności, z któremi się całkiem nie tai mówiąc żydowi, u którego stanął gospodą:

Słuchaj mnie — żyłem w bezwstydzie
Na kartach i pijatyce,
Kochałem i żydowice,
I szlachcianki i cyganki:
A tak mnie zna Litwy księstwo,
Że gdyby nie moje męztwo,
Dawnoby mnie już — na drzewie...

A przecież przed tym rubachą szlachcicem, w którym nic nie było z szlacheckich cnót jeno męztwo, klęka córa rabina, Judyta, bo (mówi mu):

Panie! ty wczoraj z reduty
Jako Judasz Machabeusz
Skoczył na moskiewskie działa,
. . . .
Śród panów — choć ty chudeusz
To ty chodził po dolinie
Na koniu, jak Goliat jaki...

Judyta, (o której charakterze i konieczności w dramacie powiemy w drugim akcie i końcowych uwagach, wierzy, że ten człowiek bił się nie dla siebie lecz dla kraju i dla tego klęka przed nim.

Kosakowski więc staje jako współzawodnik księdza Marka w Barze. Ksiądz czysty, on skalany — pierwszy: duch; drugi: ciało; pierwszy, walczyć chce dla Boga i narodu; drugi, dla swego pożytku i własnej sławy — pierwszy w Bogu, drugi w szabli moc swoją widzi.

Taki jest zawiązek w akcie pierwszym.

W akcie drugim rysuje się nam zaraz z początku wybitniej postać Judyty. Widzimy tu Judytę obok księdza Marka — przyniosła ona na ofiarę dla kraju świętemu mężowi manele i dyamenty. Judyta zamknęła w swojej dziewiczej piersi wszystko, co żydowski naród ma szlachetnego, podniosłego. Naród żydowski przedstawia dziwną mieszaninę kału i pięknych uczuć. Żyd oplwany pogardą na ulicach, ocierający się z niej z flegmą, a pragnący tylko zarobku, zysku, lichwy — jakże niepodobny do siebie, gdy stanie między swojemi, nakryty płachtą świąteczną i pocznie się modlić i jęczeć psalmami pod świecznikiem siedmioramiennym?—Dwie natury — dwa życia są w tym narodzie. Łupinę brudu, zysku, chciwości, widzimy w ojcu Judyty w rabinie — ona zaś zachowała w sobie ducha Izraela. Już jej wystąpienie w pierwszym akcie jest smutną skargą na poniewierkę żydów, jest uczucie obrażonej godności człowieczej. Kiedy bowiem ojciec starannie zbiera makaty, dywany, złoto na wesele i posag jej — ją bolą te zabiegi ojca, kłuje ją w oczy ten zbytek narodu-niewolnika i mówi o śmierci swojej:

Obwiniesz mnie w prześcieradła,
Złożysz trupa na drabinie —
Każesz wynieść nim zadniało —
A jak goim spotka ciało,
To przeżegna się i minie,
A jak dziecko, to będzie płakało,
Nu — a jak kruk — to zakracze,
Nu — a jak pies — to zawyje...

i znowu dalej:

My tu na wieki wyklęci,
Jak ogromne cherubiny,
Co w trumnach zamkniętych siedzą.

I ona, duch Boży, czysty — i ona jak ksiądz Marek modli się o zwycięztwo i wierzy, że potęgą modlitwy, siłą duchową przyczynia się do zwycięztwa — i ona wszystko, co ma, daje na ofiarę, na potrzebę kraju, a przecież jest między nią a księdzem Markiem różnica wielka, różnica jaka jest między zakonem Mojżesza a Chrystusa. Tu znowu słowami Judyty ją wykażę.

Patrzaj ty na mnie człowieku

mówi do Kosakowskiego, uchodząc przed jego napaścią:

Jestem Izraelitanką,
Mój Bóg niewisiał na ćwieku,
Nie pił octu ni piołunów;
Ale stał na wielkiej górze
Pośród dwunastu piorunów
W czarnej i ognistej chmurze,

Obok wielkich cnót Judyty — brak jednej tj. miłości chrześciańskiej, co kocha i przebacza. Te dwa duchy wielkie (ks. Marka i Judyty) działając społem, działają silnie; ale gdy zemsta żydówką władnie, wtedy niszczy dzieło i swoje i świętego męża, i odtrąca jego modlitwę z niebios; jak to w końcu tego aktu zobaczymy.

Powiedzieliśmy już poprzednio, że Kosakowski staje w buncie przeciw natchnionemu mężowi — w tym akcie schodzą się obydwa przy ciele młodego starościca z Barku, który broniąc Judyty przed Kosakowskiego napaścią poległ od jego broni. Ks. Marek piorunem słów uderza na Kosakowskiego, i tą mocą, jaką ma człowiek nad zwierzęciem pokonywa go, łamie i nieprzytomnego każe wypędzić z miasta. „Gwałty, morderstwa, grabieże — precz z Polski!“ — mówi, widząc znikającego z miasta szlachcica. I zostaje w Barze sam ks. Marek z ludem i prowadzi go na wały.

Tu jest tak zwany punkt kulminacyjny dramatu, chwila przesilenia. Ks. Marek wśród kul nieprzyjacielskich jak drugi Mojżesz błyska cudami — duchem rozrywa harmaty nieprzyjacielskie; ale przekleństwo Judyty mąci pracę jego i niszczy zwycięztwo. Powodem do przekleństw i zemsty żydówki znowu Kosakowski. Jeszcze w pierwszym akcie przyszedłszy do Baru, wziął od rabina pieniądze na skrypt Potockich — groszem

tym, przeznaczonym na publiczne potrzeby, „pierze bru dny honor karciany“ i dlatego grozi śmiercią żydowi, jeżli przed kim go wyda. Czy jasnowidzenie, czy Judyta powiedziała tę tajemnicę księdzu, więc ten, wyganiając Kosakowskiego z Baru, do innych klątw dodaje: złodzieju publicznego grosza. Mściwy Kosakowski każe za zdradę powiesić żyda. Śmierć ojca zapala żydówkę zemstą. W szary wór ubrana, w popiele, z bosemi nogami siedzi przy trupie ojca. Kosakowskiego, wracającego do Baru, uderzają w twarz urągające słowa żydówki:

Ty okradł i zabił żyda,
I z jego martwego ciała
Zostawił posag żydówce;
A sam poprowadził hufce,
Jako Polak — patryota,
Jak pan wielki — oświecony,
Jak twej ojczyzny dobrodziej! —
Choć ty zabójca i złodziej.

I zrywa się żydówka mściwa, i rzuca garściami przekleństwa na pole, gdzie walczył ks. Marek, wierząc, że skarga jej ducha zabije zwycięztwo. I nie na samych przekleństwach przestaje — ukrytym lochem wpuszcza do Baru Moskali.

Kreczetników, Suwarów, Branicki, wychodzą na scenę.

Nasycona zemsta żydówki wnet upada jak wzdęte chwilowym wiatrem wody morskie — ona teraz prosi, by ludzkie żywoty szanowano, a gdy Branecki z urąganiem i szyderstwem przyjmuje tę prośbę — oburzona żydówka odwraca się ku niemu i pyta:

Nu, kto ty, co im urągasz?
Czy ty pies, że ludzkie kości
Na polu zębami ciągasz?
I nad trupem jesteś w złości?

Ale jeszcze bardziej cichnie zemsta żydówki, gdy ks. Marka wprowadzają pod strażą, rannego. „Przeklnij! przeklnij!“ woła upadając mu z jękiem do nóg.

Upadnij tu na kolana
Córko, niechaj ci odpuszczę.

mówi apostoł Chrystusa, i mówi dalej:

Abyś była prorokinią
Przyszłą, między twoim ludem;
Jedną z tych, co w kraju jęczą,
Jedną z tych, co boleść dzielą,
Jedną z tych, co go weselą,
Jedną z tych, co w przyszłość wierzą.

A więc zdradę, co nie z rozmysłu, ale w szalonej chwili była poczęta, odpuścił ksiądz, aby nawrócona i przez nią nawracani stali się cząstką narodu, bo na to, jak sam mówi, toczy się ta wojna, aby silne duchy Boże miały na ziemi ojczyznę.

A tymczasem odstępca Branecki gorzej od nieprzyjaciół pastwi się na księdzu, bo ksiądz walczący za ojczyznę, to dla niego najstraszniejszy wyrzut, który chce zabić w sobie. To pastwienie się, największy dowód jego niepokoju duszy, jego zbrodni. Każe biczować księdza; ale cudem oślepieni biczowniki sami siebie w ciemnicy katują. Zabobonnego Kreczetnikowa porusza ten widok i mówi z żalem:

Ach tam Katarzyna karmi
Tyle mnichów ruskiej wiary...
A żaden cudów nieumie;

ale łotra Braneckiego nieporusza cud, bo jako wykształcony w cud niewierzy, i radzi wysłać księdza kibitką. Sprawa Baru więc upada; ale zwycięztwo ducha Bożego widoczne nad judzką niewiastą, a w akcie trzecim te dwa duchy skojarzone moralną siłą na wroga uderzą.

Akt drugi kończy się słowami ks. Marka, gdy go wysełają kibitką:

Patrz! kogo wysełasz ze mną,"
Bo na drogach Pańskich ciemno,
I często jest krwią zbryzgana
Ta ciemna i nocna droga,
Krwią szaleńców roztrąconych o Boga.

(*C. d. n.*)

OCZY MARYNI.

Powieść.

Zadymka była na polu — tumany śniegowe latały, jak szalone tanecznice, zasypując drogi i rowy, do tego okolica była równa, nudna, kończąca się w dalekim horyzoncie wioskami i czarnemi smugami lasów. Na polach tylko kilka suchych gałęzi drzew sterczało ze śniegu, znacząc ślad drogi i stary, spruchniały krzyż rysował się na niebie, zaczerwienionem po zachodzie słońca. Na krzyżu siedziały poważne wrony, kracząc. Od czasu do czasu, gdy wiatr cichnął i tumany zmęczone na dół opadały, słychać było z daleka dzwonki sanek, których głos zdawał się coraz zbliżać, i wreszcie już ze zmierzchem pokazały się koło krzyża wielkie sanie, przerzynając się powoli i z trudnością przez zaspy. Zmęczone i spocone konie robiły mocno bokami. W saniach siedziały cztery osoby, trudno było oznaczyć ich płeć i wiek z kawałeczków nosów, z odrobiny ócz, jakie im z pod futer wystawały. Tylko na przodzie obok woźnicy siedzący młody mężczyzna nie zakrył się wcale przed zimnem i wiatrem. Twarz jego piękna, smagława, zdradzała ormiańskie pochodzenie; lekki wąsik rysował się nad wąskiemi ustami; czarne, ruchliwe oczy śmiało i pewnie patrzyły; w całej twarzy było dużo życia, choć dzikiego trochę i gorącego. Śmiało i pewnie kierował końmi, zachęcając je do pośpiechu. — Reszta osób siedziała w saniach w głębokiem milczeniu.

— No! jużeśmy przy krzyżu — rzekł młodzieniec powożący.

Z jednego futra wysunął się nos, wąsy i oko, i po chwili głos się wydobył:

— Chwała Bogu, to już pół drogi; ale jak się nagle ściemniło, oko wykol nic nie widać. Adasiu! ostrożnie, nie wpakuj nas w rów jaki.

I znowu głos, wąsy, nos i oko schowały się w futro.

— Najlepiej było przenocować — odezwał się kobiecy głos z pod innego futra — trzeba było mnie słuchać jak radziłam, taka noc szkaradna, gotowiśmy ją porządnie odchorować.

— Ależ niewypadało zostawać — rzekł niesmaczno właściciel wąsów — wszak widziałaś ile osób u solenizantów na noc zostało. W Wierzbinie dwór niewielki, niewiem jak się pomieszczą. Ta to my najbliżej mieszkamy, to odjeżdżać koniecznie wypadało.

Po tym krótkim dyalogu, w saniach znowu było milczenie.

— Paniczu! — rzekł woźnica półgłosem — widzi panicz tam koło granicznego kopca, mnie się zdaje, że to wilki oczami świecą.

Adaś spojrzał przed siebie bystro, i również cicho rzekł:

— Licho ich nadało teraz, kiedy strzelby niemam; a wielu ich być może?

— Dwóch panie, bo się cztery świeczki migają.

— No, to niema strachu, i kijami ich odgonimy, wieś niedaleko. Tylko żeby się panie nie poprzelękały.

W tej chwili konie poczuły wilków i skoczyły w bok. Adaś silną ręką skierował je na drogę i popuścił cugli: konie szarpnęły saniami i jak wiatr poleciały naprzód.

— Co to? co to? — odezwały się z sań wszystkie głosy.

— Nic, nic — spokoił Adaś, ale daremnie, bo wilki pokazały się tuż koło sani. Kobiety krzyknęły i pomdlały. Właściciel wąsów i drugi naprzeciw niego siedzący zcierpli i oniemieli ze strachu. Tylko Adaś i woźnica wielkim hałasem i kijami straszyli i odpędzali wilków.

— Henryku! — wołał na brata, bij, odpędzaj; ale próżno wołał, bo Henryk ze strachu strętwiał i dzwonił zębami jak we febrze.

Niebezpieczeństwo nietrwało długo — sanie szparko suwały po śniegu, i niedługo dobiegły wioski. Wilkom brakło odwagi lecieć między chaty i zostały w tyle. Panie przyszły do przytomności.

— No! to już po niebezpieczeństwie — rzekł Adaś zwalniając bieg koniom — cóż Henryku żyjesz jeszcze? A to tchórz!

Henryk odetchnął mocno, Adaś się rozśmiał.

— I z czegóż się śmiać? — rzekł Henryk niecierpliwie, złośliwie — wielka rzecz niebać się wilków, lada chłop to potrafi.

Adaś przygryzł wargi i nic nie odpowiedział; ale w tej chwili obrócił się nagle, bo dźwięczny, miły głosik, któregośmy dotąd niesłyszeli, odezwał się z sanek:

— O moj Boże! jakież mi się nieszczęście stało!

— Cóż takiego? — zapytały głosy.

— W przestrachu upuściłam książkę do nabożeństwa.

— A mniejsza tam o książkę, gdyśmy cało wyszli z katastrofy — rzekł właściciel wąsów.

— Ależ to wujciu jedyna pamiątka po mojej mamie — rzekło dziewczę smutnie i umilkło.

— Może się w saniach znajdzie, przecież dla książki do wilczych zębów wracać niebędziemy.

Rozmowa się urwała, i niedługo zabudowania dworskie się pokazały, sanie wtoczyły się na dziedziniec przed dwór okazały, służba czekała ze światłem we drzwiach. Adaś wyskoczył prędko z sani i wysadzał panie. Szczególniej właścicielce książki zgubionej podawał rękę z wielką czcią i delikatnością. Światło pochodni oświecało jej twarzyczkę. Cudna to była twarz grecka, pogodna, spokojna; tylko w tej chwili światło łamało się w jej oczach ciemnych, wielkich, pełnych łez. Adaś je dojrzał choć się w cień kryła przed nim.

— Macieju — prosiła — poszukajcie w saniach mojej książki do nabożeństwa.

— Ależ niepchaj się błaźnie — cedził Henryk — później poszukasz, przecież wyjść muszę.

Adaś zaciął zęby — starsi państwo i Henryk już weszli do pokojów. — Marynia, (bo takie imie miało dziewczę), czekała jeszcze na ganku.

— Niema nic panienko — rzekł Maciej po długiem szukaniu.

— Niema? — powiedziała drżącym głosem i poszła.

Sanki odjechały z przed ganku, niedługo i światła w oknach pogasły, bo pomęczeni podróżni prędko się zabrali do snu, tylko w panienki pokoiku długo jaśniało światło przez zamarzłe szyby.

Wicher zcichnął znacznie, we dworze było cicho — tylko trąba stróża wrzeszczała od czasu do czasu.

W tem boczne drzwi dworu otwarły się i ktoś cicho, ostrożnie wysunął się na dwór. Psy zaszczekały, przybiegły; ale poczuwszy znajomego umilkły i łasić się poczęły. Adaś je pogłaskał, chyłkiem przeszedł koło okna Maryni, i poszedł ku oficynom, brodząc po śniegu, głęboko dobrał się do ostatniego okienka i zapukał lekko.

— Kto taki? — spytał głos z głębi.

— Maciuś! Maciuś! — rzekł Adaś tłumiąc głos, by go kto niepodsłuchał, wyjdź no tu.

Za chwilkę małą wyszedł chłopak zaspany, bosy, na prędce otulony siermięgą.

— Chi, chi, chi! to panicz! a cóż to panicz strachem został? — i zaśmiał się dziwnym, nieprzyjemnym, zwierzęcym prawie śmiechem głupi Maciuś.

— Idź Maciusiu, zapal latarnię, pójdziesz ze mną do krzyża.

— E! cóż paniczowi w głowie, a tam po co? czy pieniądze kopać?

— Zgubiłem pugilares jadąc, pójdziemy szukać — spiesz się!

— Pulares? — eh! to go tam dawno czort tumanem przysypał.

— Weź łopatę z sobą, znaleść musimy.

Maciuś zniknął w sieni, Adaś czekał na niego niespokojny zapinając surducik, który go niedość chronił od nocnego zimna. Spojrzał w okno panienki, i rozjaśniła mu się twarz.

— Mój Boże — myślał sobie — żebym też mógł znaleść, bo jej tam teraz musi się wydawać, że drugi raz została sierotą.

— Idę, idę — syczał Maciuś i wyszedł z łopatą i latarnią zapaloną. Blask jej oświecił mu twarz i całą postać odrażającą i politowanie obudzającą. Na karłowatem ciele siedziała wielka głowa, porosła włosem twardym jak szczeciną. Wielkie uszy sterczały z niej. Twarz żółta, pomarszczona, niebyła ani młodą, ani starą; głęboko w głowę wepchnięte oczy wciąż się śmiały głupim śmiechem, i usta od tego śmiechu dziwacznie się wykrzywiły. Ten zupełny brak ducha na człowieczej twarzy nieprzyjemnie uderzał oczy.

— Che, che, będziemy straszyć po wsi.

— Cicho bądź, zasłoń latarkę siermięgą i chodź.

— Hej, hej, — a to dopiero łysnę świeczką stróżowi w samo ślipie. Nie ogna mi się kijem jak przy wieczerzy, bo przecie z paniczem idę.

— A gdzie stróż? — zapytał Adaś i stanął.

— A juści przy bramie, gdzie i psy — dogryzał Maciuś, kontent, że choć raz wygada się na stróża, z którym w wiecznej był wojnie.

Adaś się zastanowił:

— To nie można nam iść przez bramę.

— A jakże?

— Przez mur przeleziemy.

— Cie! to ta nietylko ja boję się stróża — filozofował Maciuś i poleciał za paniczem w ciemny ogród.

Ale czas już powiedzieć kilka słów o osobach, któreśmy dotąd poznali, i stosunku ich do siebie.

(C. d. n.)

LISTY FIZYKALNE,

przez

Dra Feliksa Strzeleckiego.

List pierwszy.

Ubolewasz kochana siostro! nad tem, że będąc oddaloną tak od Lwowa jak od Krakowa, nie możesz wraz z Marynią twoją korzystać z publicznych wykładów fizyki dla kobiet, i prosisz mię, bym ci przesłał przynajmniej niektóre notatki, które wykładom moim za podstawę służą. Z notatek takich nie wiele miałabyś, kochana siostro, pociechy; są one urywkowe i po większej części mnie tylko samemu zrozumiałe. Muszę cię zatem prosić, byś w celu zupełnego zaspokojenia ży-

czeń twoich cierpliwie poczekać chciała, aż wyjdzie na widok powszechny dziełko moje: *Fizyka dla kobiet*, nad którem obecnie pracuję. Nim jednak to nastąpi, chcąc natychmiast przychylić się po części do żądania twego, i powiększyć, o ile można, zamiłowanie twoje do nauk przyrodniczych, postanowiłem napisać do ciebie tych kilka listów, w których z nauki fizykalnej to wyłożyć ci zamyślam, co bądź najbardziej zajmującem, bądź gospodyni najpotrzebniejszem mi się wydawać będzie. Zaczynam dziś od listu wstępnego.

Dwa zwykle rozróżniają ludzie światy: świat ducha, i świat zmysłu. Pierwszy poznajemy za pomocą pewnych niepojętych władz ducha naszego; drugi pojmujemy za pośrednictwem zmysłów naszych. Myślenie ludzkie, ogarniając przedmioty to jednego, to drugiego świata, wysnuło w długim przeciągu wieków długie pasmo umiejętności, nieocenione skarby umysłowe w naszych mianowicie czasach. Cała tedy wiedza ludzka podzielić się da na *wiedzę nadzmysłową* i na *wiedzę zmysłową* [1]).

Tym dwom głównym szczepom wiedzy ludzkiej nie równy przyznają niektórzy ludzie wpływ na wykształcenie ducha ludzkiego. Podczas, gdy jedni zaniedbując nauki nadzmysłowe, gonią tylko za korzyściami materyalnemi; popadają drudzy w drugą ostateczność, i patrząc prawie z pogardą na wszystko, co zmysłowe, bujają myślami tylko w eterycznym świecie ducha. W ostatni ten błąd wpadają często osoby twojej płci, kochana siostro! Kobiety, obdarzone z natury wznioślejszem czuciem, wyposażone z natury żywszą wyobraźnią, bardzo są skłonne opuścić poziomy świat rzeczywistości i unieść się w sfery ideałów, zwłaszcza, gdy odbierają wychowanie, li kierunek idealny uwzględniające.

Aczkolwiek wielce cenimy w kobiecie wykształcenie estetyczne, uwielbiamy w niej czucie dla wszystkiego, co piękne, wzniosłe, dobre i prawdziwe: nie uznamy jednak wychowania kobiecego za zupełnie odpowiedne celowi swemu, gdy wyłącznie w wymienionym tylko kierunku kształcić usiłuje; równie jak takiego wychowania nie poczytamy za zgodne z powołaniem swojem, które usiłuje wykształcić tylko dobrą gospodynię domu. Wychowanie kobiece wtenczas dopiero nazwiemy zupełnie zgodnem z celem swoim, gdy nauki obydwóch tych kierunków połączone zostaną w piękną harmonijną całość. Tak kształciły matki nasze, staropolskie matrony, córki swoje, a Polki nie samą tylko pięknością ciała były ozdobą kraju naszego. Albowiem wychowanie kobiet tak oczywiście urządzone być powinno, by jak najlepiej odpowiadało powołaniu kobiety. Powołaniem zaś kobiety jest zostać gospodynią domu, przewodniczyć zarządowi domowemu; ale oraz być godną obywatelką kraju, godną jednostką społeczeństwa ludzkiego, odpowiedną wymaganiom czasów dzisiejszych.

Pod podwójnym tym względem nauki przyrodnicze, a w szczególności główna ich podstawa: fizyka, ważne w wychowaniu kobiet zajmować powinny miejsce. O wpływie ich na pierwszą część powołania kobiety nikt nie wątpi; oczywistą jest rzeczą, że nauki przyrodnicze, nauki dające wiadomości o własnościach rozmaitych przymiotów do pożywienia służących, nauki o wpływie ciepła na organizmy zwierzęce, nauka o świetle, chemia, itd. ważną w wychowaniu gospodyni przyszłej odgrywać powinny rolę. Wiadomości przyrodnicze staną się dla niej znaczną częścią posagu, uwolnią od przesądów i zabobonów, nauczą utrzymywać i pomnażać majątek, ugruntują byt i szczęście życia familijnego.

Lecz nauki przyrodnicze nietylko pod względem praktycznego ich zastósowania zasługują być umieszczone w poczet wiadomości potrzebnych dla kobiet: w nich, równie jak w naukach nadzmysłowych, czerpać można wyższe wykształcenie rozumu, uszlachetnienie uczucia. Wszak nikt nie zaprzeczy, że badanie jakiegoś arcydzieła sztuki, pojmowanie myśli artysty, wynalezienie środków harmonicznych, do uosobnienia tej myśli użytych, wpływa w sposób bardzo skuteczny na rozwinięcie rozumu, wykształcenie uczucia: jakże więc badanie przyrody, tego najpiękniejszego, największego i najwznioślejszego arcydzieła Stwórcy najlepszego i najmędrszego nie ma w najwyższym stopniu uszlachetniać umysłu ludzkiego? Nikt dalej nie zaprzeczy, że poznanie jakiegoś arcydzieła sztuki wywołuje cześć dla twórcy jego; a więc badanie przyrody, najznakomitszego arcydzieła Boga napełniać musi duszę naszą miłością, czcią i uwielbieniem bez granic względem wszechwładnego jej stworzyciela, wznosić musi ducha naszego do Boga, który tak mądrze wszechświat stworzył, tak mądrze go utrzymuje.

Osądzisz teraz, kochana siostro! sama, jak niesłuszny jest zarzut, robiony naukom przyrodniczym, że odwodzą człowieka od Boga, że ucząc człowieka władać siłami przyrody, wzniecają w nim pychę i zarozumiałość. Jakże lepiej poznać Boga, jak | poznając Jego dzieła, dzieła tak wielkie, tak wzniosłe, że nawet ludzie najznakomitszą władzą umysłową obdarzeni nie są w stanie poznać ich w zupełności? Im dalej zapuszczamy się duchem w dziedzinę przyrody, tem bardziej poznajemy, że ukrywa ona w swem łonie skarby jeszcze nieznane, skarby, które zaledwie może odkryją prace wieki trwające, przez najznakomitszych myślicieli z gorliwą wytrwałością podjęte; skarby, które może nigdy odkryte nie będą. To poznanie tworzy nie pychę i zarozumiałość; ale owszem pokorę i skromność, i okazuje nam ograniczoność naszą w porównaniu z nieskończonością Boga.

Umieszczenie tych uwag na szczycie listu niniejszego, zdawało mi się rzeczą potrzebną a nawet konieczną, by naukom przyrodniczym, o których wielkiej i ogólnej ważności w dzisiejszych czasach nikt już nie wątpi, zabezpieczyć rolę, jaka się im i w wychowaniu kobiet w wysokim stopniu przynależy; a na zakończenie listu tego chcę ci jeszcze dać w krótkości ogólny przegląd i podział nauk przyrodniczych.

Jak już na wstępie do listu niniejszego powiedziałem, zbiór wszystkich wiadomości naszych o przyrodzie stanowi *przyrodnictwo*. W przyrodzie spostrzegamy rzeczy, które zapełniają pewną część przestrzeni, i które nazywamy *ciałami*, a na ciałach rozmaite własności i przemiany tychże, które nazywamy *zjawiskami*. Tak np. woda, powietrze, kamień, żelazo są ciałami; własność np. wody, że jest przezroczystą, przemiana ta wody, którą marznięciem albo parowaniem zowiemy, są zjawiskami. Ztąd pochodzi ogólny podział przyrodnictwa na naukę trudniącą się poznaniem ciał, i na naukę trudniącą się poznaniem zjawisk. Pierwsza nazywa się *historyą naturalną*, druga *historyą przyrody*. Ciała rozróżniamy na ciała *organiczne*, nazwane tak od pewnych narzędzi (organów), którémi są opatrzone, i które służą do utrzymania i wykształcenie życia pojedynczych tych ciał i całych rodzajów; i na ciała *nieorganiczne*, niemające podobnych narzędzi; ciała organiczne dzielą znowu na *zwierzęta* i *rośliny*. Historya naturalna rozpada się przeto na trzy główne części: na *zoologię*, czyli historyę naturalną zwierząt; na *botanikę*, czyli historyę naturalną roślin; i na *mineralogię*, czyli historyę naturalną ciał nieorganicznych. Podobnie i nauka przyrody trudni się al-

[1]) Tę ostatnią nazywamy także *wiedzą materyalną* lub *przyrodnictwem*, gdyż świat zmysłowy nazywa się także światem materyalnym lub *przyrodą*.

bo poznaniem zjawisk objawiających się wyłącznie na ciałach organicznych, i nazywa się wtenczas *fizyologią*, która jest znowu albo fizyologią zwierząt, albo fizyologią roślin; albo bierze sobie za przedmiot poznanie zjawisk świata nieorganicznego, i taka ostatnia nauka zowie się *Fizyką*.

Korespondencya.

Z nad Dniestru, w lutym 1862.

(Z Tańskich Hoffmanowa — Mody).

(Dokończenie)

A teraz przejdźmy do innego przedmiotu, a raczej do korespondencyi z Nad Dunajca w Nrze 2m b. r. *Niewiasty*, tyczącej się *Mody* i *strojów polskich*. Na pozór te dwa razem przedmioty: Pisma Hoffmanowej i Moda, zdają się bardzo niestósowne, jednak przypatrzywszy się dłużej, przekonywujemy się że tak nie jest, bo wszakże nasza kochana autorka i w tym względzie nie zostawiła nas bez rady, wiedząc: że ten przedmiot bardzo ważny u niewiast. Żałuję, że nie mam pism jej pod ręką, nie mogę więc wprost z niej wypisać; ale napiszę to w swój sposób, stosując się do niej o ile pamięć serca pozwoli, w tym przedmiocie o którym mówiła, to jest o modzie i ubraniu. Korespondentka z nad Dunajca uskarża się na ciągłą zmianę mody i na zbytek — co do pierwszego zdaje mi się, że najlepszem jest niesprawianie nigdy nad dwie sukień, niezbyt gorących, ani zimnych, aby mogły być prawie w każdej porze noszone, jednej z nich lepszej, drugiej z pośledniejszej materyi, jednej od wizyt, drugą od zwykłego ubrania; tym sposobem nigdy się mieć nie będzie przestarzałych sukień; a gdyby się i to zdarzyło, czyż to wielkie nieszczęście? to jest złem i bardzo wielkiem złem, że jesteśmy niewolnicami mody, że zawsze i we wszystkiem chcemy zmiany, i jeźli się w tem niepoprawimy, nie pomogą ubrania polskie, bo w ślad za niemi pospieszy zmiennicza moda, która będzie raz skracać, to przydłużać stany, raz je okrągło, drugi raz spiczasto zakończać, aby tylko dogodzić kaprysom. To ślepe posłuszeństwo modzie jest niezawodnie główną winą Polek; Francuzki nawet nie słuchają jej tak, wychodzą u nich wprawdzie żurnale, ale one prawie o nich nie wiedzą i ubierają się jak im się podoba — mówię tu o klasie średniej, którą bliżej poznałam — u nas tak nie jest, bo u nas każdy chce być pięknie, choć nad stan ubrany. Tę słabość prawdopodobnie miały i nasze prababki, a nawet praojcowie, wszakże inaczej się ubierali za Zygmuntów, inaczej za Wazów, inaczej za Sasów — a nasze prababki tem bardziej: przekonywują nas o tem portrety, na których z czasów Zygmuntów mają stroje włoskie, za królowych Francuzek, francuskie itd.; a nawet święta królowa Jadwiga, ubierała się już z francuska, prawda, że to był jej strój narodowy, jako Andegawenki, ale za nią szło wszystko, jak to można się przekonać z dzieła Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło, i z wielu innych. Na codzień miały zapewne nasze Polki ciepłe kontusiki, jupki, kucbajki, jakie opisuje pani Hoffmanowa w „Janie Kochanowskim,“ ks. Kitowicz w swych pamiętnikach, Korzeniowski w „Stolnikiewiczu wołyńskim i inni, ale jakim to było krojem, formą — nie wiadomo; dziś to wszystko przekrawa się na patron francuski, i zawsze po francusku wygląda. To pewna, i w tem się zgadzam z korespondentką, że forma pierwotnego polskiego stroju zachowała się pewno najlepiej w ubiorze naszych wieśniaczek, przyjęcie to miałoby zapewne tę dobrą stronę, żeby nas porównało z ludem, chociaż jakby to przyjął, zachodzi bardzo wielkie pytanie? Czyby zaś ten ubiór odpowiedział temu, czego chce korespondentka, to jest: żeby wyrugował zbytek i modę, to bardzo wątpię, bo uważmy tylko, i zacznijmy od gorseta, wszakżeż musi być z ciężkiej materyi, chcąc aby dobrze leżał, a to teraz bardzo dużo kosztuje; cóż dopiero koszulka, tu byłoby dopiero pole do zbytku, bo wątpię, aby nas szanowna korespondentka chciała cofnąć do wiejskiej prostoty naszych dziewcząt, coby już naszym wyobrażeniom o decencyi się sprzeciwiało; ale w każdym razie gorset wymagałby bardzo cieniutkiej chemizetki, niezmiernie starannie wyprasowanej i włożonej trudno od rana, choćby już ten zwyczaj ubierania się od południa raz wypędzić należało. O dalszej tualecie już ani mówię, ale jeźli ma ustać zbytek, nie przystaję ani na krynolinę, ani na długie suknie, bo to jest właśnie ruina, a zresztą gorset i krynolina — cóż to za ironia! cóż to za strój z kiepska po węgiersku, jakby dawniej powiedzieli. Co do głowy, najsilniej protestuję przeciw głowie francuskiej, a ubraniu narodowemu, dla czegóż właśnie najpiękniejsza i najszlachetniejsza część ciała naszego ma być cudzoziemską? dla czego pogardzać sławiańskiemi rozpuszczonemi warkoczami? łatwo to odgadnąć, bo podobno trudnoby ktorej z nas poszczycić się długim warkoczem; czemu tak jest, nie wiem, ale to pewna, że nie koniecznie własne, francuskie fryzury lepiej nam dogadzają. Co jednak głównie mam przeciw polskiemu strojowi, to to: że on wytępiłby naszą żałobę, bo prababki nasze, szczęśliwsze od nas, mogły nosić jasne i żywe kolory, kiedy zaś nosiły żałobę, to ją nosiły prawie jak my teraz (wyjąwszy krynoliny), z dodaniem zaś czarnych na głowę kwefów, które wolno nam włożyć. Ale że żałoba jest teraz narodowym ubiorem, niema wątpliwości, i słusznie na nas woła śp. arcybiskup Fijałkowski: „Włóżcie czarne suknie, niechaj czarny kolor rozszerzy się od morza do morza i „oznaczy granice plemienia polskiego...“ tak jest, włóżmy żałobne i pokutne suknie, „płaczmy nad leżącą w ruinach budową, na którą w gniewie swoim dmuchnął „Pan Syonu,“ łączmy się smutkiem, bo w nim solidarność, w nim zbawienie! Ubrania, fraszki, błyskotki, zostawmy szczęśliwszym, a pokochajmy smutek. Wychowujmy dzieci nasze na dzieci ojczyzny, szerzmy oświatę, ochraniajmy pieniędzy jako potężnego środka, a przedewszystkiem módlmy się o wytrwanie w dobrem i o moc duszy — tym sposobem będziemy naśladować nasze prababki w ich cnotach, a ustrzeżemy się wad, których nie znać i nie unikać jest także grzechem.

Tyle powiedziawszy, kończę szanowny redaktorze, prosząc, abyś zrobił z tym listem, co ci się spodoba; ale zawsze zachował *anonym*, bo nie mając ani czasu, ani śmiałości, ani talentu, niechcę wchodzić w żadne stosunki literackie, i nie życzę sobie, żeby kto potem napisał: „ta, a ta w 24 latach napisała korespondencyą do *Niewiasty*, potem nie napisała nic, czemu dziwię się bardzo.“ Toby mię zmartwiło, wydając do tego metrykę, co *soit dit en passant*, żadnej z nas nie jest miło, co do sławy literackiej, miałabym wprawdzie na pocieszenie: „jednego, ale lwa,“ czyli tym razem lwicę, wszelako niewiem czy kiedy dójdę do tego stopnia zarozumiałości — tymczasem kończę, łącząc wyrazy szacunku i poważania.

„Ta a ta.“

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. —Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.